

Maria Jentys-Borelowska: Wielki pożar Grodna

Tysiące ludzi zostało bez dachu nad głową i bez środków niezbędnych do życia. Porażający był widok ofiar żywiołu stłoczonych na placu musztry pod miastem, w koszarach, w gimnazjum męskim i w nieczynnej fabryce słodu. Nie mieli nic, dosłownie nic, ogołoceni nie tylko przez ogień, ale i przez – bliźnich. Trudno w to uwierzyć, ale tak było! W w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Orzeszkowa. Republika pracy” prezentujemy przedpremierowo fragment powieści Marii Jentys Borelowskiej "Moja Eliza".

[środa, 6 kwietnia 1910]

— Elizo, Elizo, obudź się... obudź — mówiłam, pochylając się nad chorą i poklepując ją delikatnie po rękach i policzkach, aby przerwać sen, który musiał być pełen grozy, bo szarpała się, krzyczała i zrywała do ucieczki. Byłam pewna, że to nie atak dusznicy, ale koszmar senny, dlatego nie wzywałam doktora (miał przyjść dopiero za godzinę), tylko próbowałam ją czym prędzej obudzić. Ale nie udawało mi się: Eliza uparcie trwała w koszmarze i, już wyraźnie, wzywała pomocy. Nie mojej wszakże, nie lekarza, tylko Stanisława! To mnie tak przeraziło, że potrząsnęłam nią mocniej, a wtedy otworzyła oczy i zawołała:

— Maryniu, pali się! Połowa Grodna w ogniu! Zaraz i nas płomienie dosięgną! Czerwone jęzory już liżą Zaułek Sienny... Są coraz bliżej naszego domu... Och, wreszcie jest Stanisław... i to z gromadą chłopów... Mój niezawodny, nieoceniony... Przybył mi na ratunek!... Och, moje książki, sypią się na bruk z rozprutego prześcieradła... ludzie je depczą... miażdżą... Ogień już trawi nasz dom! I mnie pożera! I mojego Stasieczka! Maryniu, uciekaj, ratuj się! Maryniu!!!

Ostatnie słowa wykrzyknęła tak głośno, że przerażona Zosia wbiegła do pokoju, a Eliza, całkiem już obudzona, siadła na łóżku, rozejrzała się wokół i rzekła, dysząc ciężko:

— Byłam pewna, że to jawa... Że znowu nasze miasto płonie... A to tylko sen... Koszmarny majak, który nawiedza mnie co jakiś czas od dwudziestu pięciu lat... Tylko że dzisiaj był straszniejszy niż kiedykolwiek... Niż w rzeczywistości... Bo płonął cały kraj... cały świat... I ja płonęłam... I Stanisław palił się jak żagiew... Mój Boże, czy to znak jakiś? — westchnęła i umilkła, wyczerpana.

Pomogłam chorej ułożyć się z powrotem do snu i usiadłam tuż przy jej łóżku. Zasnęła prawie natychmiast, a ja cofnęłam się pamięcią do owego strasznego czerwcowego dnia, który wypalił w świadomości Elizy — i nie tylko Elizy, bo większości Grodnian, w tym mojej — ponury ślad.

Pożar wybuchł dziesiątego czerwca rano w części Grodna zwanej Żydowszczyzną. W okamgnieniu strawił sto pięćdziesiąt drewnianych domów żydowskiej biedoty, po czym dobrał się do budynków murowanych przy ulicy Sobornej (co mu ułatwiły drewniane chodniki). Straż pożarna nie zdołała go powstrzymać – pech zaś chciał, że nie było akurat w mieście wojska – więc wkrótce miał spustoszenie na Dominikańskiej, Policyjnej, Troickiej Wielkiej i Troickiej Małej, a w chwilę później był już po drugiej stronie Niemna i pochłaniał wszystko, co mu stało na drodze: niepohamowany, nieujarzmiony, dziki, szalony, straszny! Nie próbowano już ratować domów, ratowano rozpaczliwie życie i resztki mienia. Przestał się rozszerzać około piątej nad ranem, lecz trwał do czwartej po południu dnia następnego.

Przeczytaj również: Publicystyka Elizy Orzeszkowej jako szkoła myślenia obywatelskiego

Bilans działalności tego potwora był tragiczny: dwie trzecie miasta obróciło się w popioły i zgliszcza! Ze szczętem spłonęło siedemnaście większych i mniejszych ulic i zaułków, znacznych ubytków doznały główne ulice (Soborna, Gubernatorska, Policyjna, Kupiecka, Grochowa, Brygidzka, Rzeźnicka, Skalmanowska, Złotarska, Łazowicka, Dominikańska, Polna, Piaskowa, Podwale, Kołożańska, Bonifraterska, Sienna, Paradny Plac i inne). Jeśli liczyć w budynkach, to Grodno w ciągu półtorej doby straciło: sto trzydzieści domów murowanych (na dwieście osiemdziesiąt pięć), trzysta osiemdziesiąt drewnianych (na dwa tysiące dwieście dziesięć) oraz trzysta pięćdziesiąt niemieszkalnych i sto sklepów. Spaliły się: gmach stacji telegraficznej, więzienie, większość hoteli, kasa gubernialna, filia banku państwowego, dzwonnica klasztoru i ogród brygidek, biuro deputacji szlacheckiej,

zarząd akcyzy, Sąd Sierocki, dwie kancelarie rejentów, elementarna szkoła żydowska oraz luterańska, biura wojskowe, apteka, księgarnia, dwie drukarnie, dwa zakłady fotograficzne, skład maszyn i narzędzi rolniczych; niewielkiego uszczerbku doznała grodzieńska fara. Straty w majątku ruchomym i nieruchomym szacowano na trzy miliony rubli. (Co gorsza, połowa spalonych domów nie była ubezpieczona, druga połowa zaś – ubezpieczona dużo poniżej swej wartości).

Tysiące ludzi zostało bez dachu nad głową i bez środków niezbędnych do życia. Porażający był widok ofiar żywiołu stłoczonych na placu musztry pod miastem, w koszarach, w gimnazjum męskim i w nieczynnej fabryce słodu. Nie mieli nic, dosłownie nic, ogołoceni nie tylko przez ogień, ale i przez – bliźnich. Trudno w to uwierzyć, ale tak było! Pazerność ludzka okazała się nie mniej bezwzględna niż żarłoczność ognia! Soldaci, nędzarze miejscy oraz włościanie z okolicznych wsi zbiegli się jak sępy do pożaru i całymi furami wywozili, co im w ręce wpadło. Widziałam to na własne oczy, widział i opisał w korespondencji dla „Kraju” Helota (czyli Maksymilian Obrębski), widziała i także opisała w felietonach dla tegoż pisma Eliza, również ofiara żywiołu. Spłonął bowiem doszczętnie dom przy ulicy Siennej, w którym mieszkała, a w nim trzecia część jej cennego księgozbioru, liczne poszyty z notatkami oraz kilka rękopisów... Zresztą, jak sama mówiła, nie tylko w bibliotece, ale w całym jej majątku pożar wykroił szczerbę dużą i skala jej dostatku zniżyć się musiała o wiele, ale o tym opowiem później. Na razie oddam głos pisarce, aby własnymi słowy opowiedziała o kataklizmie, który z dziką furią niszczył miasto, i o dzielnych ludziach, którzy z narażeniem życia ratowali innych ludzi i ich mienie. Oto fragment pierwszego felietonu z pożogi, który ukazał się w petersburskim „Kraju” pod neutralnym tytułem *Wspomnienie*:

„W mieście wicher i ogień szaleją, burzą, niszczą, w popiół zmieniają siedliska, a w rany serca ludzkie. Powietrze pełne gryzącego dymu, rozpacznej muzyki kościelnych dzwonów, krzyków i jęków ludzkich. Na starym, obszernym Siennym Rynku piętrzą się góry sprzętów i tłumoków, tłoczy się ciżba złęczona, śpiesząca, spłakana, ale ognia tu nie widać jeszcze. Może nie przyjdzie, może w drodze wstrzymają się tę czy tego potwora. Mówi się tu o ogniu jak o istocie żyjącej: »Czy on tu przyjdzie? Czy już nadchodzi? Czy go nie powstrzymają?«. Jeżeli przyjdzie, trzeba będzie z tymi już zdruzgotanymi dostatkami swymi uciekać przed nim dalej. — Dokąd? — Pod stopy Bernardyńskiego kościoła, na obszerny podwórzec. — A jeżeli i tam dogoni? — Ha! to już chyba za Niemen, het, za wodę, w Boże pole, pod nagie niebo — nie, nie nagie, bo grubym czarnym dymem podszyte jak kirem! Nagle — okrzyk, zagłuszający dźwięki dzwonów i przenikliwe tony wojskowych tręb: Przyszędł! Oto już go widzimy! Nad niskimi dachami Siennego Rynku strzeliła świeca ogromna, jaskrawa, wiatr miotał nią na wszystkie strony, wzdymała się, rosła, buchała kłębam dymu... rozległ się huk podobny do armatniego strzału, potem drugi raz zagrzmiało przeciągle i strasznie...

Mężczyzna jakiś w średnim wieku, w opalonym przez ogień ubraniu, z twarzą szernią od dymu, przeskakując kufry, tłumoki i obalone stołki, śpiesznie koło mnie przebiegał. Z całej siły pochwyciłam go za ramię i, wskazując olbrzymią świecę, która już wiele innych roznieciła dokoła, zapytałam:

— Panie! Co tam gore? Co tam z takim łoskotem runęło?

Drżałam. Jego brwi ściągnęły się kurczowo nad oczyma, które w mej twarzy utopiły krótkie, ale głębokie spojrzenie.

— Dom Batorego! — odrzekł i pobiegł dalej...”

Fragment felietonu drugiego:

„Przyszedł moment taki, nie w wieczór, ale już w ranek wiosenny, gdy z przeraźliwym blaskiem i dławiącym dymem pożogi wzbił się ku niebu z kruszących się ścian mego miasta »krzyk trwogi i rozpacz wielu tysięcy ludzi«. Chata moja stała w ogrodach, daleko od pierwotnego źródła pożaru; przez czas jakiś można było mniemać, że żywioł niszczący dosięgnąć jej nie zdoła. Ale już o południu przyjaciele i życzliwi przybiegli z wołaniem: »Idzie tu! Już idzie! I przyjdzie niezawodnie, ratuj, co możesz!«. Tak, szedł istotnie i niezawodnie przybyć musiał. Zielony mój dziedziniec już był szary od dymu, w którym wiły się i przelatowały złote roje iskier; stare wysokie klony moje wicher rwał w różne kierunki; zza kilku sąsiednich domów widać było chwiejącą się w powietrzu, szeroką, ognistą chorągiew... Ratować! Obejrzałam się dokoła. Chata niezbyt mała, a tak różnych różności pełna, że w żadnym kącie już by chyba jednego gracika, na żadnym stole i w żadnej szafie żadnej książki zmieścić nie można. Wozów i koni dnia tego za żadną cenę dostarczyć sobie niepodobna. Iluż trzeba ludzkich grzbietów, aby na sobie dźwignęły to wszystko, książki szczególnie; mnóstwo książek bardzo ciężkich, a jak drogich, ten tylko powie, kto smutne swe serce orzeźwiał kiedy w pracy umysłu, kto umie kochać to, czego na cielesne swe oczy nie widzi i tych, których nie

zna, a przecież tak z bliska, tak serdecznie zna... Najlepszy z przyjaciół moich — od razu dopowiem: Stanisław Nahorski — przywiódł mi kilku silnych i uczciwych chłopów; brali i wynosili z domu, co mogli, ale przedmioty najcięższe... nade wszystko książki, biurka moje... Powiodłam po nich okiem. Żegnajcie, żegnajcie! Po was, zarówno jak i po tych ścianach, wśród których tyle, tyle przeżyłam: za pół godziny pozostanie garść popiołu.

Wtem drzwi szklane, co chwila roztwierane na oścież i przez szalony wicher zamykane z trzaskiem i przeraźliwym dźwiękiem rozbijanych szyb, rozwarły się znowu przed wchodzącą gromadą ludzi. Było ich dziesięciu, wysokich, silnych, z podniesionymi głowami i ramionami, już wyciągającymi się do pracy; na czele ich szedł człowiek barczysty, z twarzą śmiałą i energiczną, z kruczą, gęstą, a na pół już osiwiąłą czupryną, z płomieniem zapału w oczach.

— Kto panowie jesteście?

— Murarze z Podola.

— Kto was tu przyprowadził?

— Jan Czerniawski. (...)

— Hej, chłopcy! Na plecy wory te i węzły! Do tej szafy dwóch wystarczy, ten stół sam jeden, kochanku, podźwignąć musisz! Żwawo! Ostrożnie! Na Sienny Rynek! Tam jeszcze ognia nie ma! Wracać prędko, galopem, a jednego do pilnowania zostawiać! Ej, żwawo! żwawo! Nie jeden tylko ten dom w nieszczęściu! (...)

Na dziedziniec wpadł chłopak rozczochrany, spłakany, krzyczący:

— Ratujcie, ludzie! Tu tylu jest ludzi! Pali się u Mikołajowej, wszystko spali się... Stara z dziewczyną nic nie udźwignie...

Czerniawski stanął jak wryty i ręce załamał.

— Oj, biednaż kobieta, biedna!

Biedna była istotnie ta wzywająca ratunku Mikołajowa: wdowa po kucharzu, restauratorka na małą skalę; całe jej bogactwo — rondle, kotły i wory z zapasami surowej żywności, same rzeczy ciężkie. Namyslał się kilka sekund.

— Hej, chłopcy, sześciu za mną do Mikołajowej! Czterech niech tu zostanie, tu już potrzeba mniejsza... Rybacy przyszli!

Istotnie, przyszli do mnie także rybacy, szewcy i dorożkarze lub ich synowie. Czerniawski z częścią swoich tam pobiegł, gdzie jeszcze nie było nikogo.

Przez cały ten dzień piekielny, w kłębach dymu, upale ognia i chmurach kurzawy, widywałam go często tu i tam noszącego ogromne ciężary, wdzierającego się na płonące już strychy, odganiającego złodziei od stosów rozrzuconych i połamanych rupieci, a w powietrzu huczącym szalonymi rozpędami wichru, ludzkimi wrzaskami, wojskowymi sygnałami i kościelnymi dzwonami, do ucha mego przedzierał się głos ze zdyszanej wychodzący piersi, lecz rażny i rozkazujący: »Hej, chłopcy, za mną, żwawo! galopem!«.

Nazajutrz, po tym dniu boleści i zagłady, o dość wczesnej rannej godzinie, powiedziano mi, że z murarzem Czerniawskim stała się rzecz straszna. Posłałam tam natychmiast mego lekarza. W godzinę potem, z dłońmi przyciśniętymi do czoła, słuchałam o czterech złamanych żebrach i nadwyrężeniu płuc tak silnym, że w tym wieku... kto wie... czy uleczalnym? Do czwartej godziny w nocy paliło się miasto. Około trzeciej nie miał już komu ratować mienia; zachciało mu się gasić ogień. Prosta historia: wdrapał się kędyś, na jakąś znaczną wysokość, stracił równowagę i, upadając, piersią i bokiem uderzył o jakiś twardy i kanciasty przedmiot.”

A teraz o stratach Orzeszkowej. Prócz cennych ksiąg i notatników przypadł (rozsypany się, nie spłonął) manuskrypt dopiero co ukończonej noweli Germania (o rugach pruskich), z rzymskiej powieści Ardelion zostały ledwie trzy rozdziały, reszta uleciała z

wiatrem. Najdelikatniejsze (a więc najcenniejsze) meble połamały się i rozpadły, liczne kosztowne i potrzebne graciki zepsuły się lub zawieruszyły, obrazy, biżuteria, porcelana, srebra i bielizna zostały rozkradzione. Poniosła też pisarka znaczne straty pieniężne, gdyż spłonął dom, w którym miała wynajęte i z góry opłacone mieszkanie, zapłata za ratowanie dobytku też była niemała. Na szczęście Grodzieńskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, w którym Eliza i Mecenas mieli zdeponowane oszczędności, wbrew jej obawom nie zbankrutowało wskutek pożaru, nie pozostała więc bez grosza.

Nie pozostała też bez dachu nad głową: najlepszy z przyjaciół zaoferował jej gościnę pod dachem własnego, nietkniętego przez pożar, domu przy ulicy Rozkosz (przemianowanej potem na Sadową, a jeszcze później na Murawjewską), zamieszkała więc tymczasowo u Leokadii i Stanisława Nahorskich, w pokoju na piętrze, i od razu — wespół z Nahorskim — rozwinęła działalność pomocową. Przede wszystkim wynajęła (za grube pieniądze!) czteropokojowe mieszkanie w jednym z ocalałych domów i ofiarowała je (tymczasowo) piętnastu bezdomnym, w tym mojej siostrze Brygidzie Pruszyńskiej, pewnemu dorożkarzowi z rodziną oraz dwóm służącym, którzy stracili w pożarze dosłownie wszystko. Objąwszy funkcję wiceprezeski kobiecego Komitetu Pomocy Pogorzelcom (prezeską została żona gubernatora Augustyna Juliewna Potemkin), z bezprzykładną sumiennością i ofiarnością wykonywała swoje obowiązki. Zaczęła od zbadania stanu przydzielonej sobie dzielnicy miasta (czyli Podola) i sporządzenia listy osób najbardziej poszkodowanych, po czym rozpoczęła zbiórkę pieniędzy. Czegóż ona nie robiła, by uzbierać jak najwięcej! Niebaczną na swój wiek i stan zdrowia, dwoiła się i troiła, by poruszyć ludzkie serca i sumienia. Pisała i rozsyłała dziesiątki apeli do osób prywatnych i redakcji czasopism o wspomnienie ofiar kataklizmu, obszernym i pełnym dramatycznych szczegółów listem zobligowała swojego warszawskiego przyjaciela

Leopolda Méyeta do działania na rzecz pogorzalców, zwróciła się nawet do słynnego warszawskiego tenora Władysława Mierzwińskiego, by zaśpiewał na rzecz Grodnian (niestety, odmówił, ale z dochodu innych swoich występów i z własnej kieszeni dał na pogorzalców kilkaset rubli), wreszcie na łamach „Kuriera Codziennego” opublikowała — niestety, mocno okrojony przez cenzurę — artykuł Z pożaru Grodna, w którym podała dramatyczne dane o sytuacji miasta i jego mieszkańców po kataklizmie. Pisała między innymi:

„Władze robią, co mogą: sprowadzają chleb z Białegostoku, biorą mąkę z wojskowych spichrzów (...) Utworzył się tutaj (...) komitet wsparcia i ratowania przepadających. Ale jakże to my ich wspierać i ratować będziemy, kiedyśmy sami zubożeli albo też wszystko stracili? Oprócz połowy dzielnicy żydowskiej i kilku uboższych zaułków, spłonęły właśnie te ulice miasta, przy których mieszkali ci, co by mogli ich wspierać i ratować — gdyby ich dobro było nie zginęło. Z dwunastu adwokatów trzech tylko ocalało część swego mienia; z trzydziestu lekarzy — kilku; z trzech rejentów — jeden. (...) W pozostałych domach mieszkania doszły do cen bajecznych. Za jeden pokój właściciele wymagają od trzystu do pięciuset rs rocznie. Hotelów zaś już nie mamy: z dwudziestu kilku został jeden. Ta niewielka liczba ludzi dostatnich, których domy czy mieszkania ocalały, straciła fundusze lokowane w domach spalonych, a które w większej części ubezpieczone nie były, i ostatnie swe środki zużywa na drodze dobroczynności prywatnej”.

Mimo iż warszawska cenzura zakazała drukowania obszerniejszych artykułów o Grodnie, wiadomości z miejsca katastrofy, za sprawą ludzi dobrej woli, przebijały się do wiadomości ogółu i pomoc — rzeczowa i pieniężna — nadchodziła z różnych stron, od redakcji, instytucji i osób

prywatnych. Na samym początku car ofiarował Komitetowi Pomocy z własnej szkatuły dwadzieścia pięć tysięcy rubli, hrabia Branicki przysłał około pięciuset rubli, Aleksander Świętochowski sto rubli, panie Rotwandowa, Baumanowa, Krausharowa i Natansonowa po kilkaset rubli. Wielu darczyńców przysyłało datki pieniężne wprost na ręce Orzeszkowej, z pominięciem Komitetu, prosząc, aby rozdysponowała je wedle własnego uznania. Jednakże wszystko, co napływało, było kroplą w morzu potrzeb. Eliza wiedziała, że przyczyną obojętności znacznej części polskiego społeczeństwa na tragedię Grodnian jest przekonanie, jakoby w pożarze ucierpieli głównie zruszczeni Żydzi i Rosjanie, i trapiła się tym niezmiernie. Dla niej ucierpieli ludzie. Po prostu LUDZIE. Robiła, co mogła, żeby zwalczać te niechrześcijańskie i zwyczajnie nieludzkie postawy. Sama niosła pomoc przede wszystkim tym, którzy byli w najgorszym położeniu, nie bacząc na narodowość, wyznanie, pochodzenie i tym podobne, nieistotne względy. Świadoma magicznej mocy swojego nazwiska, nie ustawała w rozsyłaniu do redakcji gazet błagalnych apeli o pomoc — i zazwyczaj uzyskiwała ją. Od czytelników ogłoszonego w petersburskim „Kraju” Wspomnienia otrzymała około tysiąca rubli, od międzynarodowego petersburskiego Banku Handlowego zaś dwa i pół tysiące. Dla Jana Czerniawskiego, dzielnego murarza, który ratując cudze mienie (między innymi jej najcenniejsze książki i rzeczy), poniósł ciężki uszczerbek na zdrowiu, uzyskała — również za pośrednictwem korespondencji zamieszczonej w „Kraju” — hojne wsparcie od darczyńców.

— Maryniu, Maryniu — przenikliwy głos Elizy wyrwał mnie z zamyślenia tak nagle, że drgnęłam przestraszona i pochwyciłam ją za rękę, aby zbadać puls; był słaby, lecz miarowy, odetchnąłam; a ona

mówiła: — Patrzę na ciebie od dłuższej chwili, ale ty mnie nie widzisz... Nie ma cię tutaj... Jesteś, a raczej byłaś gdzieś bardzo, bardzo daleko... Możesz mi powiedzieć, gdzie byłaś?

— Ależ naturalnie byłam tam, gdzie poprowadził mnie twój sen.

— Mój sen? Ach, ten koszmar o pożarze Grodna... Byłaś w płonącym i ginącym Grodnie... To było tak dawno...

— Miałam akurat przed oczyma pana Jana Czerniawskiego. Zarzucał sobie na plecy twoje biurko, a ja bałam się, że pięknie mu kręgosłup. Nie pękł.

— Wtedy nie, później pękł... I ten cichy bohater grodzieńskiej apokalipsy został na resztę życia kaleką — westchnęła. — Zmarł zresztą kilka lat po pożarze. A teraz ja wybieram się w tę podróż bezpowrotną... Może go spotkam, kto wie — westchnęła znowu.

— Ależ, Elizo... — zaczęłam, ale ona nie pozwoliła mi dojść do słowa, mówiła dalej:

— Wyobraź sobie, Maryniu, że po przebudzeniu i ponownym zaśnięciu nadal śniłam ten sam sen... Ale było już po pożarze... same ruiny, zgliszcza, popioły... I ani żywego ducha — mówiła powoli, z przerwami. — Inaczej niż wtedy, na jawie... Wtedy wszędzie były tysiące ludzi pozbawionych dachu nad głową... A także dziesiątki, setki rabusi, takich nikczemnych ludzkich hien... A my, ty i ja chodziłyśmy po

spustoszonego Podolu... od kościoła Bernardynów aż do Niemna...
wyszukując najbiedniejszych... Potem z zasobów naszego Komitetu
posyłałyśmy im odzież, jedzenie, lekarstwa... Pracowałyśmy w pocie
czoła od rana do wieczora... W moim śnie pogorzeliście było puste,
wymarłe... Przeróżające... W pewnej chwili na tle czarnego szkieletu
jakiegoś wypalonego domu pojawił się człowiek... Rozpoznałam go, był
to Stanisław... mój mąż... Ale jakiś taki widmowy, jakby z mgły czy
popiołu... Dawał mi ręką znaki, abym za nim szła... Oddalał się i zniknął
w nieprzeniknionej czerni... Poczułam dreszcz trwogi i... obudziłam
się.

Ponieważ milczałam, dodała po chwili:

— Czy nie myślisz, Maryniu, że ten sen to przepowiednia? Zapowiedź
jakiegoś kataklizmu, o wiele groźniejszego niż znany nam pożar
Grodna?

— Sen mara, Bóg wiara — powiedziałam, aby ją uspokoić, choć i ja
poczułam dreszcz trwogi. Wszak ludzie wielcy duchem, zwłaszcza w
obliczu śmierci, miewają chwile jasnowidzenia. A nasz świat od
jakiegoś czasu zdawał się zmierzać ku samozagładzie...

— Tak tylko mówisz, Maryniu, ale myślisz to samo co ja, przyznaj się —
szepnęła ledwo dosłyszalnie. Była już bardzo zmęczona rozmową.

— Przyznaję, Najdroższa, że od wydarzeń dziewięćsetnego piątego roku
trawi mnie stały lęk o przyszłość ludzkości.

— No właśnie, właśnie — rzekła Eliza z westchnieniem. — Ale tamte wydarzenia były ledwie przygrywką do czegoś, co się niebawem wydarzy... Wiem to, czuję... Może więc dobrze, że kończę już... — umilkła, a ja, najniespodziewaniej dla samej siebie, zalałam się łzami.

Maria Jentys-Borelowska

Powieść *Moja Eliza* Marii Jentys-Borelowskiej ukaże się nakładem wydawnictwa FORMA w czerwcu 2026 roku.

Za udostępnienie fragmentu do przedruku uprzejmie dziękujemy Autorce książki.

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [531]:
„Orzeszkowa. Republika pracy”**